NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódź, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 80 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 17 grudnia 1921. Nr. 51.

Krwawy sąsiedzki porachunek



Ofiara zawiści sąsiedzkiej Sokolnik Górnych i Dolnych Jaworski, pada ugodzony knią przeciwnika.

Krwawy sąsiedzki porachunek.

(Do illustracyi tytułowej).

W wielu okolicach naszego kraju panuje pomiędzy najbliższemi gminami, a częstokroć nawet między mieszkańcami jednej i tej samej, dziwny antagonizm, dający powodów przy pierwszej lepszej sposobności do zwad i bójek, kończących się niejednokrotnie krwawo. Powody tych sąsiedzkich nieporozumień sięgają nieraz bardzo dawnych czasów, a wyrastają najczęściej z rozpolitykowania naszego ludu przez niesumienną agitacyę. Po wojnie nierówności te nie zatarły się bynajmniej, przeciwnie, występują jeszcze jaskrawiej, niż poprzednio. Rozluźnienie obyczajów, wywołane wojennymi stosunkami, objawia się podczas tych załatwiań osobistych porachunków, przyczem ważną odgrywają rolę rewolwery, karabiny a nawet granaty ręczne.

W okolicy Lwowa leży duża wieś, Sokolniki, składająca się z dwóch części: Górnych i Dolnych. Między ich mieszkańcami panuje od dłuższego czasu antagonizm, znajdujący swe ujście przy lada okoliczności. Jedni drugim zaprzysięgli zgubę i z zawziętością, jakiej nie powstydziłyby się południowe narody, występują zawsze przeciw sobie. Czy to na weselu, czy w karczmie, czy na jarmarku, jeśli tylko zetkną się ze sobą Sokolniczanie Górni z Dolnymi, znajdzie się zawsze powód do sprzeczki lub bójki. Ubiegłej soboty dnia 3 grudnia odbywała się u jednego z gospodarzy sokolnickich huczna zabawa. Piwo i wódka lały się potokami, to też nic dziwnego, że głowy biesiadników zawieruszyły się, co się zowie. Po zabawie uczestnicy poczęli się rozchodzić i z niewyjaśnionej na razie przyczyny na gościńcu powstała nagle sprzeczka, która rychło zamieniła się w zaciętą bójkę.

Jan Jaworski przewodził Sokolniczanom Dolnym, którzy korzystając z przewagi, potłukli dotkliwie swych „Górnych" przeciwników. Pobici parobcy ustąpili wśród złorzeczeń i wyzwisk, wycofali się z bójki, a powracając do swych domów, postanowili krwawo zemścić się na Jaworskim.

Wzburzone i zemstą dyszące umysły i po przespanej nocy nie straciły na zbrodniczem napięciu. Przez dzień niedzielny czatowali na Jaworskiego i dopadli go wreszcie w szynku. Nadarzyła się tedy sposobność krwawej zemsty. Parobcy zbiegli się do szynku i jeden z nich, zbliżywszy się do Jaworskiego, przyłożył mu w mgnieniu oka rewolwer do skroni i pociągnął za cyngiel. Nabój był mokry, rewolwer zawiódł. Jaworski, zobaczywszy co się święci, począł uciekać i wówczas drugi parobek strzelił do niego z francuskiego karabinu z odległości zalodwie 15 kroków. Strzał z tyłu trafił Jaworskiego w stos pacierzowy, a kula przeszyła mu płuca, wyrywając ich znaczną część. Trafiony padł na ziemię i męczył się jeszcze przez kilkanaście minut, poczem ducha wyzionął. Napastnicy rozbiegli się do domów. Policya aresztowała obu parobków i odstawiła ich do lwowskiego więzienia.



Zabytki polskie z Rosyi wracają do kraju: Dr Feliks Kopera (w środku) z inż. Pawluciem i Chmielewskim obok spiżowego żubra z Puszczy Białowieskiej, w byłym pałacu carskim w Nieskucznym Sadzie pod Moskwą.

Prezydent Ministrów w Bydgoszczy.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca, po posiedzeniu Rady Ministrów, odbytem w Poznaniu, zawitał prezydent Ponikowski do Bydgoszczy w towarzystwie ministra Wybickiego, wojewody poznańskiego, dr. Celichowskiego i szeregu wyższych urzędników. Po powitaniu na dworcu goście udali się do miasta, gdzie zwiedzono szereg szkół, a następnie do Magistratu, gdzie p. Prezydent przyjął szereg delegacyi. O godz. 12 min. 30 odbyło się uroczyste posiedzenie Rady miejskiej, które zagaił przewodniczący dr. Bigiel, witając w krótkiem przemówieniu p. Prezydenta Ministrów, jako pierwszego przedstawiciela Rządu. Następnie przemawiał prezydent miasta Łukowski, zaznaczając, że Bydgoszcz walczy obecnie z trudnościami finansowemi, tak, że pomoc Rządu powinna być w pierwszym rzędzie finansowa. W końcu wyraził życzenie, aby urząd wojewódzki przeniesiony został do Bydgoszczy, jako jedynego miasta, które stało się na pograniczu niemieckiem ostoją polskości. P. Prez. Min. odpowiedział: Te kilka godzin, które tu spędziłem, wywarły na mnie silne wrażenie. Byłem w 4-ch szkołach, i tu, w tem do niedawna niemieckiem jeszcze mieście, zobaczyłem prawdziwie polską szkołę. Trudno byłoby mi odpowiedzieć na wszystkie dezyderaty p. prezydenta



Prezydent Ministrów w Bydgoszczy: Prezydent Ministrów, Ponikowski, w otoczeniu przedstawicieli władz, po uroczystem posiedzeniu Rady miejskiej.

Fot. W. Wojucki, Bydgoszcz.

miasta. Pragnąłbym tylko zapewnić o jednem, że jeżeli Rząd do dziś dnia zamało czynił dla Bydgoszczy, to dzień dzisiejszy jest zapoczątkowaniem czegoś nowego pod tym względem.

O godz. 6 wieczorem był p. Prezydent Ministrów na obiedzie, wydanym przez prezydenta miasta Łukowskiego. Pierwszy przemawiał minister b. zaboru pruskiego Wybicki, wzywając do pracy i jedności, albowiem tylko pracą i jednością przy poparciu Rządu przeciwdziałać można destrukcyjnej robocie wrogich nam jednostek. Drugi mówca, wojewoda Celichowski, podniósł wagę i znaczenie wizyty Rady Ministrów oraz podkreślł doniosłość decyzyi, powziętej na posiedzeniu Rady Ministrów w Poznaniu, nietylko dla Bydgoszczy, ale i dla kresów zachodnich. Następnie przemówił krótko prezydent miasta Łukowski.

P. Prezydent Ministrów Ponikowski w odpowiedzi wygłosił przemówienie, w którem przyznał, że trzeba pojęcia poddać rewizyi i do 6 ciu głównych miast polskich, a to Warszawy, Łodzi, Wilna, Lwowa, Krakowa i Poznania dodać i siódme miasto Bydgoszcz.

O godz. 11 wieczorem odjechał p. Prezydent Ministrów do Warszawy.

Wizyta p. prezydenta Ponikowskiego w Bydgoszczy zwróciła oczy całej Polski na to miasto kresowe, którego znaczenie i ważność dotąd zapoznawano. Bydgoszcz jest powołana do tego, aby tak w życiu naszem narodowem, jak ekonomicznem, ważną odegrać rolę. Dał temu wyraz Prezydent Ministrów, zaliczając Bydgoszcz do wielkich miast w Polsce i zapewniając jak najgorliwsze poparcie interesów gminy ze strony obecnego Rządu.

Uwagi prasy narodowo-demokratycznej na temat odwiedzin bydgoskich, aczkolwiek aż nazbyt obfitujące w aluzye, nacechowane niechęcią stronnictwa do obecnych czynników rządzących, nie są przecież pozbawiono tej gorzkiej prawdy, że u nas bardzo często robi się zbyt mało w tym kierunku, w którym należałoby wytężyć wszystkie swe siły, aby zapewnić sobie tem pewniejsze posiadanie tego skrawka polskiej ziemi, jak się zdawało raz na zawsze dla nas już straconego. W interesie własnym powinniśmy być gotowi do najdalej idących ofiar, które wrócą się nam z setnym procentem.

Zabytki polskie z Rosyi wracają do kraju.

Na podstawie traktatu ryskiego Rosya i Ukraina zobowiązały się zwrócić Polsce dzieła sztuki, archiwa i biblioteki oraz pamiątki historyczne wywiezione z Polski po roku 1772. Specyalna komisya, wyznaczona przez rząd polski, z p. A. Olszewskim na czele dla zrealizowania traktatu ryskiego, wśród wielu zadań miała na celu przeprowadzenie i tego punktu traktatu. Po długich dyplomatycznych zabiegach, trudnościach i wśród fatalnych warun-



Zabytki polskie z Rosyi wracają do polski: Jana Matejki „Grunwald", odebrany szczęśliwie z rąk rosyjskich.



Z Akademii Handlowej: „Dzieciom Praucyi": Grono profesorów Akademii Handlowej z dyr. Józefem Kannenbergiem w pośrodku.

ków udało się komisyi uzyskać już zwrot urządzenia zamku warszawskiego i Łazienek. Z ramienia rządu polskiego odbierał w dniu 12-go listopada w Moskwie od rządu sowietów dr. Feliks Kopera, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, część tych urządzeń przechowywaną w zabudowaniach pałacu carów w Nieskucznym Sadzie pod Moskwą. Illustracya przedstawia właśnie dra Koperę w pośrodku z współpracownikami pp. inż. Pawluciem



Niefortunny występ posła Zamorskiego: Autor osławionej broszury, poseł Jan Zamorski.

i Stefanem Chmielewskim w Nieskucznym Sadzie na tle budynku, w którym przechowywano nasze zabytki i bronzowego żubra wywiezionego z Puszczy Białowieskiej. Praca związana z transportem z górą tysiąca skrzyń nastręczała wiele trudności technicznych, zwłaszcza wobec wcześnie tam rozpoczynających się mrozów. Dalszy transport obejmie polskie zabytki w Kremlu, wywiezione w ciągu XIX. wieku. Nad całością rewindykacyi pracuje osobna komisya z drem Aleksandrem Czołowskim ze Lwowa przebywającym obecnie w Piotrogradzie. Pierwszy transport miał wyruszyć z Moskwy z końcem listopada w składzie około 40 wagonów wiozących prócz urządzeń pałaców warszawskich także



Wojna Hiszpanów z Maurami: Artylerya hiszpańska na pozycyi.

i „Grunwald" Jana Matejki, wydane przez władze bolszewickie jeszcze z początkiem listopada.

Nasza Komisya rewindykacyjna ma do zwalczania nie tylko trudności natury technicznej, lecz i rozmaite inne, w których stwarzaniu są komisarze sowieccy prawdziwymi mistrzami. Z rewindykacyą zabytków naszej kultury i sztuki, zagrabionych chciwą ręką najeźdźcy, który cudzym kosztem chciał uchodzić za państwo kulturalne, zabierał i wywoził do siebie, co pod rękę wpadło, a jakąkolwiek przedstawiało wartość, powtarza się jota w jotę to samo, co naprzykład z powrotem do ojczyzny uchodźców wojennych. Traktat pokojowy określił warunki zupełnie jasno, obie strony zgodziły się na nie, nie przeszkadza to jednak, że normalnemu tokowi prac nad wyszukiwaniem, odbieraniem i wysyłaniem z powrotem do Polski skradzionych przedmiotów wyrastają na drodze ustawicznie przeszkody, których usuwanie kosztuje wiele czasu i zabiegów.

Nie ulega również wątpliwości, że uda się nam odzyskać z powrotem tylko pewną część naszych własności i to przeważnie tę, która znajdowała się w posiadaniu i przechowaniu byłego rządu rosyjskiego, reszta zaś uległa z biegiem lat i z powodu nieumiejętnego obchodzenia się zniszczeniu, o ile zaś skarby sztuki były w prywatnych rękach, wiele ich przeszło na obcą własność i wywiezione zostały za granicę.

W każdym razie delegacya nasza, nie zrażając się trudnościami i przeszkodami, rozwija bardzo energiczną działalność. Ze odnosi ona skutek, o tem świadczy komunikat biura prasowego rosyjskiego sowieckiego poselstwa w Warszawie rozesłany do pism, a donoszący, że w dniu 6. bieżącego miesiąca wysłany został z Moskwy specyalny pociąg kolejowy, złożony z 46. wagonów, wiozący zrabowany majątek warszawskiego Zarządu Pałacowego. W jakim stanie odbierzemy swą własność, to dopiero przyszłość pokaże, niewątpliwie przecież wszystko to, co do nas powróci, nosić będzie na sobie ślady kultury tych, którzy jakiś czas uważali się za prawnych właścicieli nieprawnie zagrabionego dobra.

Z Akademii Handlowej

„Dzieciom Francyi".

Niedawno zdawaliśmy sprawę na tem miejscu z jubileuszu, jaki obchodziła w naszem mieście Akademia Handlowa — szkoła w nowym charakterze niemal jedyna w Polsce. Przy tej sposobności podkreśliliśmy zasługi dyrektora Zakładu p. Kannenberga oraz grona profesorskiego, tak szczęśliwie dobranego i zestrojonego, zwłaszcza w stosunku do młodzieży. Dziś, podając zbiorową fotografię tego Grona, chcemy dodać, że praca tych profesorów wytrwała i cicha, raz po raz przynosi jakiś piękny objaw życia szkolnego, które w instytucyi tej biegnie wartkim strumieniem naprzód. Uwzględniając naukę w pierwszym rzędzie, niemniej uwzględniają tam profesorowie potrzeby i uczucia dojrzewającej młodzieży, nadając im zrównoważony i jedynie racyonalny kierunek.

Weźmy np. taką sprawę. Wiemy wszyscy dobrze, ile Polska zawdzięcza — pomiędzy innemi — życzliwym dla siebie uczuciom i sympatyom Francyi, nie mówiąc już o rzeczywistej łączności na polu kultury i literatury. Okazać za to swą wdzięczność i pełne uznanie jest obowiązkiem każdego Polaka. A w jakiż sposób może to uczynić nasza młodzież szkolna, która z natury rzeczy musi być wolną od wszelkiego politykowania i takich demonstracyi? Wszak towarzyszenie powozowi, w którym jedzie ktoś z przedstawicieli francuskiego narodu i krzyczenie chrapliwym głosem „wiwatów", to chyba nie dowód głębokiego uczucia, choćby z tej prostej przyczyny, że taka rzecz może być tak dobrze potrzebą serca, jakoteż i... spełnieniem rozkazów przełożonych.

Inną drogą poszła młodzież Akademii. Za przyjaźń Francyi, okazywaną Polsce, postanowiła odwdzięczyć się Francyi na ręce jej dzieci... Oto pod przewodnictwem romanisty prof. Pszona wieczornemi godzinami zbierała się młodzież Akademii w klasie i tu wykonano cały szereg prześlicznych ozdób na drzewko. Z tych ozdób urządzono potem w zeszłą niedzielę publiczną wystawę. Nie reklamowano jej, nie rozgłaszano; poufnie od uczniów i uczenic dowiedział się ogół, że coś takiego jest... Wystawa była prześliczna. Wyroby z paciorków ucz. Majewiczównej (aż 2), dalej z bibułek i skorup z jaj oraz orzechów ucz. Malcównej, Zollównej, Kowalskiej, Balcerównej, Sermetównej i innych, budziły podziw i uznanie za gust i benedyktyńską cierpliwość w wykonaniu.

Nad wystawą widniał napis: „Dzieciom Francyi". Bo też te ozdoby z tą zrobiono myślą, by dostały się na drzewko do rąk dzieci francuskich. W jesieni



U trumny polskiego szermierza: Sp. Stanisław A. Bąkowski, pierwszorzędny polski fechtmistrz.

odwiedziła Akademię wielka przyjaciółka Polski p. Bailly, redaktorka *Le samis de la Pologne.* Na jej ręce teraz przesłano w paczkach wykonane przez młodzież ozdoby.

O tym fakcie należało wspomnieć, bo, pomijając wartość tej pracy u młodzieży i znaczenie wychowawcze, piękny ten czyn przyczynić się może do pogłębienia sympatycznych uczuć między nami a Francyą; zwrócić uwagę kupców francuskich na polskie zdobnictwo i zabawkarstwo, stanie się nowym choć nie krzyczącym dowodem, że Polacy umieją być wdzięczni... A słyszymy, że podobno we Francyi temperatura w stosunku do nas i to z naszej winy chłodnie.

Dodać należy, że wystawę tę zwiedzili pomiędzy innymi przedstawiciele misyi francuskiej z jenerałem Tronyo na czele, koło „Przyjaciół Francyi" i inne wybitne osobistości, interesujące się życiem młodzieży Akademii Handlowej.

Zachwyt, u Francuzów zwłaszcza, był wielki i niekłamany.

Niefortunny występ posła Zamorskiego.

Poseł do Sejmu Ustawodawczego z byłego okręgu wyborczego Tarnopol - Zbaraż, profesor Jan Zamorski, jeden z filarów i najczynniejszych członków narodowej demokracyi odegrał wobec swego stronictwa rolę prawdziwego *enfant terrible.* Jego „zamorski" występ, autorstwo broszury wydanej w Ameryce, a pełnej nieuzasadnionych inwektyw, skierowanych przeciw naszej sile zbrojnej, musiał otworzyć oczy na antipaństwową działalność endecyi nawet tym, którzy dotąd z nią sympatyzowali. Broszura owa wywołała w całem polskiem społeczeństwie słuszne głosy oburzenia, zohydzając nas w oczach świata, a tembardziej godnym napiętno-

RENE BURES.

Zil=X...

tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY

4)

Niepewność Markasa.

Kiedy sędzia Giroux dowiedział się o wyniku obdukcyi zwłok senatora, wyznaczył natychmiast rzeczoznawcę tak, jak to był przewidział Dalton. Trzeba mu jednak oddać tę sprawiedliwość, że nie czekał na ten raport aby sobie o sprawie wyrobić własną opinię, bo w kilka godzin po obdukcyi zjawiła się w dziennikach następująca notatka:

„Pan sędzia Giroux, któremu powierzono śledztwo w sprawie zamordowania senatora Poivrier, zlecił panu Hamord, dyrektorowi policyi staranne zbadanie towarzyskich stosunków senatora i jego córki. Pan Giroux przesłuchać ma dzisiaj kilku świadków. W gmachu sądu obiegają pogłoski o mającem dziś nastąpić aresztowaniu znanej osobistości".

Równocześnie rozpoczęło się pokątne śledztwo reporterów. Skierowane ono zostało do tego punktu, skąd wypłynęła tendencyjna notatka sędziego śledczego. Ale naprożno odkryć chciano coś podejrzanego w życiu byłego ministra. Życie zaś jego córki czyste było i jasne jak kryształ. Jakże więc w takich warunkach można było utrwalić przypuszczenie, iż morderczynią ojca była pani de Beaumont?

Przypominam sobie, że siedzieliśmy w gabinecie Daltona zajęci odczytywaniem dzienników kiedy nagle zapukano do drzwi. Wszedł stary służący i oznajmił krótko:

— On tu jest.

— Dobrze odpowiedział Dalton. — Powiedz mu, że wejść może.

Przybyłym był człowiek, którego widzieliśmy tego samego dnia w Mordze.

— Usiąć Markasie — odezwał się do niego mój przyjaciel.

Markas trochę onieśmielony usiadł na brzegu fotela.

— Panie Dalton — rzekł — przychodzę z polecenia dyrektora. On pragnie, aby pan pracował razem z nami.

— Ho! ho! ależ najchętniej — zaśmiał się Dalton — tylko, że ja nic niewiem jeszcze.

— Oh! panie Dalton, my wiemy doskonale, że pan już ma pewne wiadomości.

— Niemam żadnych — zaprzeczył Dalton zupełnie szczerym głosem.

— A kula?

— Phi! Kula! To nie jest nic jeszcze. Odgadłem, oto wszystko. Ale i bezemnie moglišcie się o temdowiedzieć. Trochę później oczywiście, trochę później. Ale wam się nie spieszy.

Uśmiechnął się i podjął znowu.

— Jeżeli chodzi o wiadomości to wy je macie.

— Żadnej, panie Dalton, żadnej — jęknął rozpaczliwie Markas.

— Ale, ale — mruknął dobrodusznie Dalton. — Nie uwierzę w to, aby tak subtelny ajent, jak ty, Markasie niemiał już w ręku choćby początek jakiej nitki przewodniej. Powiedz prawdę — jesteś już na tropie?

— Nie, panie Dalton. Wiem tyle co pan.

— Dobrze odpowiedziałeś. A więc nie będę bawił się w przebiegłość z tobą. Ja już mam ślad, tylko nie potrzebuję ci mówić jaki, bo znasz go również.

— Znam?

— Tak.

— Ależ panie Dalton.

— Ten sam ślad, za którym sam idziesz.

— Ależ ja nie idę za żadnym śladem — bronił się ajent.

— No, no, Markas, bez głupstw! Byłeś w willi Bzów dzisiaj?

— Tak.

— I co tam robiłeś?

— Oglądałem dom.

— Jaki dom?

— No, willę pana Poivrier.

— I nic więcej?

— Nie.

— Kłamiesz, Markasie.

— Nie. Nie oglądałem żadnego innego domu.

— Ne oglądałeś, ale śledziłeś...

Markas zawahał się.

— No, widzisz — rzekł Dalton — widzisz, mój biedny Markasie... A więc ty także podejrzywasz tego awiatora?

— Niech się pan strzeże, panie Dalton — wyrzekł głucho Markas — niech się pan strzeże. Przekona się pan, że to zły ślad. Trzeba szukać gdzieindziej panie Dalton. Czuwam nad tym domem jak nad wszystkiem w tamtych okolicach. Ale niech się pan strzeże, naprawdę, niech się pan strzeże.

Ajent wydawał się naprawdę zaniepokojonym.

— Eh! uspokój się. Nie mam wcale zamiaru robić pomyłek. Ale jakże ty chcesz, abym pracował razem z tobą, skoro się ze wszystkiem przedemną ukrywasz.

— Brzydka sprawa — mruknął ajent zdając się niesłyszeć słów Daltona. — Sprawa, która człowieka może narazić na śmieszność na resztę życia. Ah! panie Dalton czy pan nie myśli, że pani Beaumont chciała zabić swego ojca?

— Nic nie myślę, Markasie. Nie wierzę w nic. Wiem tylko, tak jak ty to wiesz, że znaleziono w głowie senatora kulę z rewolweru pani de Beaumont.

— Ah! to nie wszystko jeszcze. Będę szczerym panie Dalton. Panny de Beaumont nie było w willi w dniu morderstwa. Bawiła u swojego wuja pana de Limandoux, który posiada pałac niedaleko Cornettin.

— Wiem o tem — rzekł Dalton. — Dzienniki o tem pisały.

— Ale dzienniki nie powiedziały tego — ciągnął dalej Markas, że panna de Beaumont udała się tam bardzo niechętnie. Ternissien...

— Kto jest Ternissien?

— Szofer senatora Poivrier. Ternissien opowiadał mi więc, że panna de Beaumont chciała pozostać w willi Bzów, ale, że matka zmusiła ją do wyjazdu. W automobilu panna de Beaumont płakała a pani de Beaumont gniewała się na nią.

— Zrozumiesz później — mówiła — że musisz się oddalić i schronić na czas pewien.

— Schronić, przed czem? — pytała panna Beaumont.

— Nie zadawaj mi pytań — odpowiedziała matka. — Ale wierz mi, że mam tylko twoje szczęście na względzie.

W tem miejscu rozmowy panna de Beaumont zaikała jeszcze silniej. Szofer słyszał jak mówiła: „Ah! mamo, ty go nigdy nie kochałaś!" Ale może też powiedziała „ty mnie nigdy nie kochałaś!" Co pan o tem myśli panie Dalton? Pani de Beaumont oddalała córkę aby ją uchronić przed czemś! Ale przed czem? O jakie niebezpieczeństwo dla niej mogła się obawiać?

— Na honor Markasie — odpowiedział mój przyjaciel — zadziwiasz mnie niemało! Chcesz, żebym wyświetlił tę zagmatwaną historyę codowną jakąś intuicyą! Ja się nie bawię w przypuszczenia. Nie szukam wyjaśnień w słowach niewyraźnych, które mówi młoda dziewczyna jadąc automobilem, a które szofer przekręca zapewnie. Znam i chcę znać tylko fakta. Wiem o jednym: pani de Beaumont strzelała do ojca. Dlaczego strzelała? Jak strzelała? Oto czego chcę się dowiedzieć. Dlaczego i jak? Ale przedewszystkiem jak? Czy słyszysz, Markasie? Jak? — jest faktem? Dlaczego? — tylko dowodzeniem. A w dowodzenia nie wierzę. Do widzenia Markasie. Kiedy cię będę chciał widzieć uprzedzę cię.

— A więc będzie pan pracował z nami? — zapytał żywo ajent.

— Pomyślę nad tem. Będziecie mieć jutro moją odpowiedź. O której godzinie drugie oględziny zwłok?

— Za godzinę. Pan Giroux się spieszy.

— Ja również — rzekł Dalton — ja również. A więc do jutra.

Ajent wstał i wyszedł.

Kiedy się drzwi za nim zamknęły Dalton szepnął jakgdyby do siebie:

— Dlaczego Markas się tak boi? Dlaczego się on tak boi?...

. . . .

Jeszcze raz Morga! jeszcze raz stół operacyjny, na którym leżą rozciągnięte zwłoki. Zwłoki tego człowieka, którego ajent Iggins and Co nazywa Anglikiem. Wysoki jest, barczysty, o wypukłem czole i jasnych oczach. Wąsy jasne bardzo pokrywają wargi — twarz blada, bez kropli krwi. W pośrodku czoła mały otwór przez którą weszła kula. Kulę tę przyszliśmy oglądać z Daltonem. Ja nie wiem sam po co, on zaś dlatego, że idzie za tajemnym śladem, prowadzącym go do zbrodniarza.

I lekarz znowu otwiera czaszkę i przetrząsa mózg. Wyciąga z niego kulę i podaje bez słowa Markasowi. Bo Markas także tu się znajduje oczywiście. Od dwóch dni ja sam już „pracuję w policyi". Przyzwyczaiłem się już do ajentów, znam nawet kilku z nich.

Markas bierze kulę, obraca ją, a Dalton pochyla się ku niemu i szepcze:

— To kula z browninga... ośm milimetrów — odchodzi i znowu zbliża się po chwili:

— Nie było żadnych papierów w kieszeniach tego człowieka?

— Żadnych — odpowiada Markas.

— Tak sądziłem.

— Bierze z kolei kulę, ogląda ją długo, poczem zwraca ajentowi.

Tymczasem inne zwłoki zostają złożone na operacyjnym stole. To ciało pani de Beaumont. Twarz zachowała spokój wyniosły i majestat. Na czole czerni się okrągła mała rana!

Lekarz przystępuje do wyjęcia kuli...

I Markas bierze kulę tę tak jak poprzednią.

I znowu Dalton pochyla się, patrzy, pochyla się niżej jeszcze, brwi marszczy i oznajmia po chwili:

— Kula niemiecka... dwunastomilimetrowa.

Mówi krótko, pewnie. Markas nic nie odpowiada... Poczem Dalton dotyka mojego ramienia i mówi:

— Chodźmy.

Wyszliśmy na skwer tonący w słońcu. Dalton zdawał się być uszczęśliwionym: Gwizdał nawet. Co do mnie siliłem się aby zrozumieć całe to zawikłanie z kulami. I powtarzałem sobie bez żadnego rezultatu:

Senator otrzymał w głowę kulę Smith et Wesson sześciomilimetrową;

Pani de Beaumont kulę niemiecka dwunastomilimetrową;

Nieznajomy kulę z browninga ośmiomilimetrową.

Poza tem senatorowi poderżnięto gardło.

Jakiż wniosek wyciągnąć z tych faktów? Żadnego.

Tak, nie widziałem żadnego.

Na rogu ulicy Wielkich Augustynów, stało auto z zapuszczonemi firankami. Dalton otworzył drzwiczki, skinął na mnie i zaledwieśmy wsiedli szofer bez rozkazu ruszył z miejsca.

— Gdzie jedziemy? — zapytałem.

— Do willi „Bzów".

Użyteczne odwiedziny.

Byłem bardzo zadowolony. Od trzech dni akcya wlokła się zanadto według mojego zdania. Machinalnie utwierdziłem się, że rewolwer mój znajduje się w mojej kieszeni i rozsiadłem się wygodniej.

— Masz słuszność — rzekł Dalton któremu ruch mój nie uszedł uwagi. Ale pamiętaj, że strzelać będziemy dopiero w ostateczności.

Poczem zaczął mówić, a słowa jego wszystkie utkwiły w mojej pamięci.

— Już czas abym cię w tajemniczył w przebieg ostatnich odkryć Igginsa, Igginsa and Co — dodał ze szczegółnym uśmiechem. — Odkrył on, co było dosyć łatwem, że panna de Beaumont zaręczoną była z kapitanem de Limandoux. Wszystkie dzienniki o tem pisały ale nie powiedziały, odkąd zaręczyny te datują. Otóż dopiero od dni piętnastu. Tak, zaledwie dni piętnaście jak panna de Beaumont zaręczoną jest ze swoim kuzynem. Ale przed tym okresem czasu codziennym gościem w willi „Bzów" był pewien młody człowiek — Jerzy Dambleuse.

— Jerzy Dambleuse, awiator?

— Tak.

— Syn uczonego?

— Tak.

— A więc?

— A więc Jerzy Dambleuse mieszka w Rainey, tam, gdzie się znajduje willa „Bzów".

— I to wszystko?

— Wszystko... To nawet bardzo dużo. Z przyczyny, nieznanej nam jeszcze, senator i pani de Beaumont zaręczyli nagle pannę Beaumont z kapitanem de Limandoux. Następnie oddalili ją od Rainey mówiąc jej o niebezpieczeństwie, jakie jej tu grozi. Rzeczywiście musiało to być poważne niebezpieczeństwo, skoro wbrew wszelkim formom wysłali młodą dziewczynę do rodziców narzeczonego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LEON GOZLAN.

AMATOR

2)

Kawaler Dardennes byłby tysiąc razy wolał udać się lądem do Holandyi, nawet chociażby nie wiedział o niebezpieczeństwie, które go czekało w przejeździe przez Marsylię, ale chciał koniecznie widzieć morze. Zobaczył je i długo na wet musiał na nie patrzeć. Podróż jego trwała całe dwa miesiące, a czas był nieznośny. Nareszcie o mało co nie zatonąwszy w zatoce Walencyjskiej po wytrzymaniu straszliwej kilkudniowej burzy, wylądował w Antwerpii.

W godzinę potem składał dziękczynne modły Rubensowi.

Wychodząc z katedry, w której poświęcił trzy długie godziny rozpływaniu się nad „zdjęciem z krzyża", rycerz nasz zapytał pierwszej osoby, jaka mu się nadarzyła, a osobą tą była kobieta:

– Pani! chciałbym nabyć jakiego Mierysa.

– To nie możesz pan lepiej udać się jak do mnie.

– Istotnie? a dlaczegóż?

– Bo ja sama jestem Mieryską, jestem prawnuczką Mierysa.

– Bardzo mi to miło, ale ja potrzebuję obrazu Mierysa, a nie jego prawnuczki... choć przyznaję jej wszelką plastyczną wartość – rzekł kawaler de Dardennez.

– Mam u siebie najpiękniejszych Mierysów, jacy tylko są. Chciej pan udać się za mną.

I kawaler Dardennes podał rękę prawnuczce Mierysa.

Pani Koelman z Mierysów zaprowadziła kawalera Loisela de Dardennes na starożytną ulicę kuszników, zabudowaną domami z wieżyczkami, z których niejedne aż 14 go wieku sięgały. Na widok tych szczytów spiczastych, trójgraniastych, z napisem żelaznych, zardzewiałych głosek, na ich tle zakopconem umieszczonych, tych schodków, które krużgankiem aż do środka ulicy się przeciągały; tych małych okienek, w których promienie słońca przez różnokolorowe szkła przyświecały, na zapach wędzonego śledzia, który rozchodził się wszędzie, dopełniając ogólną harmonię, nasz bohater wpadł w oczarowanie, w zapał, który niepodobieństwo jest opisać.

To wrażenie, który Antwerpia na kawalerze sprawiła, bardzo łatwo się pojmuje i nie potrzebuje fanatyzmem jego być tłumaczone. Antwerpia była wówczas we wnętrzach domów taką samą, jak w XV. albo XVI. wieku i takąż samą po dziś dzień pozostała. Można tam było widzieć tak jak po dziś dzień jeszcze stare dębowe szafy, rzeźbione kufry z drzewa orzechowego z wyrobionymi w węglach snycerską robotą apostołami i pięknymi aniołkami, uśmiechającymi się do patrzącego, aniołkami flamandzkimi, które utyły na piwie i na mięsie.

Chociaż każdy flamandczyk sądzi mieć przyrodzony talent do malarstwa, bo każdy z nich prawie ma nos krzywy i brodawki na prawym policzku, chociaż każdy z nich sądzi, że posiada Teniersa, którego nazywają *Tenirsem*, bo ma fajkę w ustach i szynkę w kominie, pani Koelman jednak, owa Antwerpianka, którą pierwszą spotkał nasz kawaler, była prawdziwą prawnuczką Mierysa i posiadała nawet dwa Mierysa obrazy: jeden *dziecko puszczające bańki mydlane w oknie* i drugi, którego przedmiotu na szczęście biograf kawalera nam nie zachował. A był on może jeszcze piękniejszy od pierwszego.

– Włóż pan okulary – rzekła pani Koelman z Mierysów.

– Nie noszę okularów.

– Jakto? pan jesteś amatorem obrazów i nie nosisz pan okularów?

– Nie pani, mam wzrok bardzo dobry.

– Ale na podziwianie obrazów flamandzkich nie dość jest własnych oczów.

– Więc na przyszłość...

– Niechaj pan, zanim się w okulary zaopatrzy, weźmie tymczasem lornetkę, a teraz niech pan spojrzy i upadnie na kolana.

Kawaler przypatrywał się obrazom.

– Ach, jakież to piękne – mówił, starając się szyję wyprostować, jakie to piękne, bardzo piękne, niezmiernie piękne.

– To arcydzieło, nieprawdaż?

– Tak pani.

– Perła, dyament, prawdziwy Mierys.

– Wiele pani chcesz za niego?

– Odmówiłam go księciu, który chciało go kupić.

– Musiał zapewne znajdować, że za drogi.

– Nie panie, ale nie dość ukazywał dlań uwielbienia.

– Ależ ja?...

– A pan, to co innego.

– Więc pani mi go sprzedasz?

– Byłoby okrucieństwem dla mnie rozłączyć się z nim, zdawałoby mi się, że sprzedaję własnego pradziadka. Zresztą za 10.000 francuskich liwrów...

– Biorę – rzekł kawaler – rzecz skończona.

– Pan mi duszę wydzierasz.

– Zapłacę pani samem złotem.

– Niechże pan sobie prędko zabiera obraz, żeby skrócić moją boleść.

– Zabieram go do mojego hotelu. Oto 10.000 liwrów złotem.

Kawaler wyliczył pieniądze, odważając każdą sztukę. Pani przerachowała je uważnie; otóż przedmiot do nowego flamandzkiego obrazka.

– Musiałem się pod szczęśliwą gwiazdą urodzić – mówił sam do siebie Dardennes, powracając do domu. – Zaledwie przybyłem do Antwerpii, nadarzają mi się zaraz dwa przepyszne obrazy Mierysa.

I nie jadł nawet obiadu, tak mu apetyt odjęło. Daremnie zastawiono przed nim przepyszne ostendzkie ostrygi, najlepsze raki morskie, wyborowa pieczeń wołową po holendersku przyrządzoną; oczy jego, umysł, dusza, wszystko w nim było Mierysem zajęte jedynie, tem *dzieckiem puszczającem bańki mydlane w oknie*, bo z dwóch obrazów ten sobie wybrał.

Po obiedzie udał się z rozradowanem sercem do zgromadzenia kuszników, gdzie uczęszczało całe wyższe antwerpskie męzkie towarzystwo, wszyscy wielcy znawcy obrazów, z piórem czerwonem u kastorowego kapelusza, z wypomadowanemi wąsami, z wysokimi korkami u butów, typy Terburga uosobione. Ich ojcowie musieli niewątpliwie służyć za modele Emmelingowi i Vandykowi. Ponieważ kawaler był szlachcicem, a oni także, zapoznanie było nader łatwem. W jednej chwili rozmowa zwróciła się na przedmiot dla każdego z nich najważniejszy:

– Błogosławię szlachetne miasto wasze – odezwał się Dardennes, nabyłem już tu Mierysa, przepysznego Mierysa.

Na te słowa zgromadziło się kółko około kawalera.

– Pan masz Mierysa, pan?

– Co on mówi?

– On mówi, że kupił Mierysa.

– Pan utrzymuje...

– Mierysa!

– Moi panowie, czyż mi nie wolno mieć Mierysa? – zapytał kawaler, trochę zdziwiony tem ogólnem zdziwieniem.

– Nie mówimy tego, ale...

– Ale ja go kupiłem, dałem za niego 10.000 liwrów francuską monetą.

– Bo to – odpowiedział ironicznie jeden członek zgromadzenia kuszników – w Antwerpii znajduje się jeden tylko człowiek, pan burmistrz Neef, który posiada wszystkich Mierysów, a on by panu żadnego z nich nie odstąpił za mniej, jak 15 000 liwrów.

– Cóż ja więc kupiłem, proszę panów?

– Jakiego Wenitza za Mierysa.

– Moi panowie, przecież i ja znam się trochę na szkole flamandzkiej i nie wezmę Wenitza za Mierysa, chociaż przyznaję, że wielce cenię waszego Ottona Venius.

Wszyscy członkowie zgromadzenia kuszników spojrzeli po sobie, jak gdyby chcieli mówić: „jednakowoż on się nieźle zna na rzeczy".

Kawaler mówił dalej:

– Cóż więc kupiłem? co takiego mi sprzedano?

– Skądże my możemy wiedzieć... ale pan nie masz Mierysa.

– Ja nie mam Mierysa!... poczekajcie...

I na te słowa kawaler pobiegł jak strzała do swego hotelu i wkrótce powrócił z przedmiotem sporu pod pachą.

– Oto jest – rzekł – cóż panowie powiecie, czyż to nie jest Mierys? prawdziwy Mierys? Niezaprzeczony Mierys? Czyż nie wart z zamkniętemi oczami 10.000 liwrów.

Znawca, który zaprzeczał kawalerowi prawa posiadania Mierysa, odpowiedział:

– Tak, to jest dobry pędzel!...

– Jeszczeby też?

– Wyborny rysunek.

– Niechno by kto zaprzeczył.

– Koniec końców jest obraz Mierysa.

– A – przyznajesz pan nareszcie.

– Wszyscy tu to samo przyznają.

I wszyscy członkowie zgromadzeni kuszników przyświadczyli kiwnięciem głowy.

– A więc – odrzekł tryumfująco kawaler – widać, że miałem słuszność, a z tego wypada, żeście panowie się omylili. To jest Mierys, ja posiadam Mierysa, niech żyje Mierys!

– Tak panie – odpowiedział ów członek zgromadzenia, który pierwszy zabrał głos – tak, to jest Mierys; ale nie wart 10.000 liwrów, nawet połowy tego, bo chociaż to niezaprzeczenie Mierys, to jest jeszcze Mierys chudy, *Van Mierys chudy*.

– Jakto panie *Van Mierys chudy?* cóż to ma znaczyć?

– To ma się znaczyć, iż pan posiadasz tylko obraz *Van Mierysa garbatego*.

– Van Mierysa garbatego... ale cóż to mnie obchodzić kogo, czy on był chudy czy garbaty? w każdym razie to jest zawsze Mierys... jakaż różnica między nimi?

– Ta różnica stanowi właśnie wszystko panie kawalerze. Obrazy Van Mierysa garbatego nie są wcale rzadkością, a nawet dość pospolite, kiedy tymczasem obrazy Van Mierysa chudego... ach panie kawalerze! Van Mierys chudy... zresztą jedynie tylko u burmistrza van Neef możesz pan obraz van Mierysa chudego napotkać.

W godzinę po tej straszliwej explikacyi, kawaler Dardennes nie był już na zgromadzeniu kuszników, leżał on na łóżku w izdebce w hotelu, w którym stanął i straszliwe mary roiły mu się po głowie. Widział we śnie tysiące van Mierysów chudych i tysiące van Mierysów garbatych, dręczących go jak potępieńca. Jakiś strasznie chudy Mierys język na niego wywieszał, jakiś Mierys okropnie garbaty przekomarzał mu się palcami na nosie, a w uszach jego brzęczały tylko te słowa ciągle powtarzane: chudy, garbaty, garbaty, chudy.

Nazajutrz kawaler Dardennes przechodził się po salonach pana burmistrza Van Neef, jedynego posiadacza obrazów Van Mierysa chudego.

– Nie oszukano pana wcale – mówił do niego poważnie pan burmistrz, ja jedyny posiadam w mojej galeryi prawdziwych Mierysów oto z nich jeden.

– Ale to jest znów także – rzekł kawaler – młody chłopak, puszczający w oknie mydlane bańki, to samo, co mój obraz.

– O zupełnie... panie kawalerze...

– Tenże sam pędzel, panie burmistrzu, więc różnica w czem?

– W czem? pan się pytasz? Pański obraz jest malowany przez Mierysa garbatego, a mój przez Mierysa chudego.

– Ale cóż to szkodzi, kiedy są oba przepysznie malowane.

– Tak... ale różnica jest wielka.

Kawaler pognębiony spuścił głowę. Po chwili rzekł:

– Pan mi sprzeda ten obraz?

– On nie jest do sprzedania.

– Przecież pan nie jesteś także potomkiem Mierysa, boć wszyscy w Antwerpii nie mogą być Mierysa potomkami.

– Nie sprzedaję moich obrazów, ale ten jednak ustąpiłbym z wielkim bólem serca za 16.000 liwrów francuską monetą.

– Nie można się targować z panem burmistrzem – pomyślał kawaler, a zresztą: obraz Mierysa chudego...

– Przyjmuję – rzekł. – Oto zapłata – i napisał oblig na rzeczoną sumę. – Proszę przysłać z tem jutro do mnie, a zlikwiduję.

I pan Van Neef zdjął obraz z muru i oddał go kawalerowi.

Przybywszy do swojego hotelu na ulicy Kipdorp, kawaler powiesił Van Mierysa chudego przy Van Mierysie garbatym i znalazł, że różnica wartości rzeczywistej tych dwóch obrazów, nie odpowiadała wartości nominalnej. Gdyby nie głos przeważny tego przesądu, który mu narzucono, byłby on może we własnem sumieniu osądził, że obraz Van Mierysa garbatego więcej wart od obrazu Van Mierysa chudego, ale nie śmiał mieć w tym względzie własnego zdania. Drugi kosztował go 6000 więcej liwrów i to dostatecznie przemawiało za nim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

12)

Chaniewski sięgnął do kieszeni i wyjął książeczkę czekową. Napisał na blankiecie kilka cyfr.

— Podejmiesz to sobie w banku...

— Żebym ja mogła przylepić mu to do fizyognomii!... — przemknęło Stefie przez myśl, ale jednak rękę po kartkę wyciągnęła, stwierdzając szybko wzrokiem wysokość kwoty. Wydało się jej — stanowczo za mało.

— Sknera!... podlec!... oszust... kanalia!...— ulżyłoby jej znacznie, gdyby mogła, gdyby śmiała wykrzyczeć te obelgi głośno, jak najgłośniej... A tak dławiła ją poprostu złość, nienawiść, obraza, piekące łzy cisnęły się do oczu... Ze ściśniętego gardła nie zdolna była wydobyć ni słowa... Wręczony jej czek zgniotła, zmięła i wrzuciła do torebki, potem w milczeniu jęła zawiązywać woalkę. Chaniewski z całą galanteryą pomógł jej włożyć żakiet. Nie podziękowała mu.

— Nie pożegna się pani ze mną?

— Mam się też za co żegnać!... — mruknęła.

— Ha! no trudno, muszę tę niełaskę przeboleć — zadrwił. — Anno, proszę pani otworzyć...

— Idę!... idę!... proszę pana dyrektora!...

Mała, szczupła kobieta, z ruchami żmii, a twarzy wiedźmy, odsunęła zatrzask, aby wypuścić Stefę. Należało to do jej obowiązków. Ona bowiem opiekowała się garsonierą Chaniewskiego i utrzymywała ów rzekomy magazyn kapeluszy pod firmą „Madame Anna".

Łączkówna, znalazłszy się na ulicy, zaczerpnęła głęboko w płuca mroźnego powietrza zimowego wieczoru. Gorąco jej było i duszno, na policzkach miała wypieki ze wzburzenia.

— Psiakrew!... stare ścierwo!... ja mu jeszcze pokażę!...

A więc teraz Bąbel... trzeba przypuścić ostateczny atak, tylko energicznie a zręcznie!... No, to nie będzie trudno, bo ten śmieszny perfuman zakochany jak kot w marcu...

Zegar na wieży wydzwonił godzinę siódmą.

— Siódma już!... trzeba się śpieszyć, żeby się nie spóźnić do teatru!...

Szybko szła deptakiem, po którym w jedną i drugą stronę przewalały się tłumy spacerowiczów. Lubiła ten „cielętnik", gdzie szykowni oficerowie, złoci i pozłacani młodzieńcy i podstarzali lowelasi czynili przegląd przystojnych kobiet. Dreszczem zadowolenia przejmowały ją biegnące ku niej spojrzenia i w przelocie rzucane komplementy. Czuła się w tej atmosferze doskonale.

Dzisiaj jednak mniej niż zwykle zwracała uwagi na objawy ulicznej adoracyi. Spieszyło się jej i zanadto była jeszcze przejęta zerwaniem z Chaniewskim.

Drgnęła wszakże, kiedy wśród tłumu przechodniów zobaczyła Kazię, zwieszoną na ramieniu Juliana Woźniewicza. Panienka mówiła coś bardzo żywo, sznurując po swojemu usta, a Julian słuchał z łagodnym, życzliwym uśmiechem.

Widok tej pary poirytował ją, ukąsił miłość własną. Ten safanduła Julek taki był zakochany, że świata nie widział, a już się pocieszył!... i ta wstrętna lafa Kazia tryumfuje!...

— Gotowa się wydać za tego głuptasa!... Fujarkiewicz na Fujarach wielkich i małych!... Żebym tak miała trochę więcej czasu, tobym nauczyła tę napuszoną marmuzelę!... Gdzie jej się mierzyć ze mną!...

W tej chwili źrenice Stefki złe, błyszczące, spotkały się z oczami Juliana. Twarz mu zadrgała nerwowo. Sięgnął ręką do czapki, ale Kazia, która także spostrzegła Stefkę, pociągnęła narzeczonego w bok i rzuciła głośno!

— Za grzeczny jesteś, mój Juleczku!... Nie można się kłaniać byle komu!... Nie każdy zasługuje na ukłon dystyngowany!

— Stefce krew w żyłach zakipiała warem gniewu. Z iskrzącemi oczyma, falującą piersią, blada ze złości, gotowa do najbrutalniejszej awantury, posunęła się w stronę Kazi, ale fala przechodniów rozdzieliła je, Kazia i Julian zniknęli w tłumie.

— Serwus, Stefa!... Ta ja ciebi już tak dawno nie widziała!...

Dawna koleżanka z biura, pucołowata Mańka lwowianka, wyciągnęła ku niej rękę, uśmiechając się po swojemu: szeroko, poczciwie, głupkowato...

— Mańka!... jak się masz!... Słuchaj! co ta Kazia ma z Woźniewiczem?...

— Ta oni się zaręczyli i żenić się będą!... On w niej zakochany, że strach!...

— Nieprawda!...

— Jakże nieprawda?... Ona sama tak opowiada!...

— Głupiaś!... Ona łże!... to ona się jego czepia, a on się pozwala za nos wodzić, bo fajtłapa!...

— Ta ja nie wiem... Kazia powiada...

— E! ktoby się z tobą dogadał!... Woźniewicz się we mnie kocha, w żadnej innej i żebym tylko palcem kiwnęła, to poleci znów za mną i na Kazię nawet się nie obejrzy!... Rozumiesz?

— Ta jak mówisz tak głośno, to już rozumiem!... Ty myślisz, że ja taka durna?!...

— Że durna, to durna!... Odprowadź mnie do teatru, bo chcę się zapytać jeszcze o różne rzeczy...

Wydostały się z tłumu na mniej ożywioną ulicę. Stefa ujęła Manię.

— Powiadajno, co o mnie w biurze mówią?

— Ta różnie mówią...

— Ale co?!...

— Że ty w teatrze śpiewasz, ale głosu nie masz, tylko nogi pokazujesz...

— Zazdroszczą im, że mam ładne nogi!... Z nich się napewno żadna do teatru nie dostanie z tymi chudymi piszczelami!...

— A one mówią, że i ty, żeby nie dyrektor...

— Także coś!... Ja mam talent!... Wiesz!... No i co jeszcze gadają?...

— A że dyrektor ciebie wnet „kantem" puści, bo on tylko tak, żeby się na chwilkę zabawić...

Stefa przygryzła wargi. Prawda tego paplania ugryzła ją w serce, niby ząb złego, drapieżnego zwierzęcia.

— Dużo ja sobie z niego robię!... Do „chrzanu" go potrzebuję, łysonia tego!... Zresztą to wszystko nieprawda!... Ja się nawet z Chaniewskim nie widziałam od tego czasu, jakem z biura poszła!... Tym głupim gęsiom się zdaje, że ja się obejść bez protekcyi nie mogę!... Sama sobie dam radę...

— Ta pewno... ta pewno... — przyświadczyła Mania.

-- A... Królecki — co?... mówi o mnie?...

— Ja nie słyszała... Ty wiesz, on się do nas mało odzywa... Kazia go cierpieć nie może...

— Bo przewracała oczami do niego, a on się nawet na nią nie popatrzył!...

— Ale z Bronką to się podobno kochają!... Stefka przystanęła nagle. Źrenice się jej rozszerzyły. Ścisnęła Manię za rękę.

— Z Bronką? Z tą brzydulą suchą... to niemożliwe!... Skąd to wiesz?...

— Ona chodzi codziennie do niego i coś tam pisze.

— Co pisze?!...

— Jakieś referaty — czy co?... Ta co ja wiem!... Ale mówią, że to tylko taki pozór!...

— No! dobrze... zobaczymy... — wyrzuciła przez zaciśnięte zęby Stefa. — No bądź zdrowa Mańka... A zajdź do mnie, to ci dam bilet do teatru!...

— Ta przyjdę!... przyjdę!... dziękuję ci!...

Stefa pobiegła teraz szybko do teatru. Było już późno. W garderobie nie przywitawszy się zupełnie z koleżankami, zaczęła się ubierać...

— Spiesz się, Stefa — zawołała Zośka. — Akt się już rozpoczął... Zaraz wychodzimy...

— Za chwilę będę gotowa... Słuchaj, jest jaki list do mnie?

— Niema.

Stefa powstrzymała się z trudem, aby nie zakląć głośno. Spodziewała się, z pewnością, że zastanie list od Bąbla... Po zerwaniu z Chaniewskim zależało jej na nim bardzo... A tu milczenie...

— Co on sobie myśli ten perfumiarz?... Pechowy jakiś dzień czy co?

— Stefa spiesz się! -- przynaglała Zośka.

— Bez tej prymadonny spektakl się obejdzie!... — mruknęła „czarna" Walka.

Stefa zerwała się z krzesła trzęsąc z gniewu.

— Tylko takie będą pokazywać publiczności!... — wskazała ręką Walkę.

— A jakaż to ja?! jaka!...

— Jest lustro — można się przejrzeć... — zaśmiała się szyderczo Stefa.

Walka uderzyła w płacz:

— Jezu miły... oto, czegośmy się doczekały!... Przyszła jakaś wywłoka i urąga!...

— Ja ci dam wywłokę!...

Byłyby sobie skoczyły do oczu, gdy w tej chwili nie przyzwał ich głos inspicyenta:

— Chór na scenę!... chór na scenę!...

Grano „Barona Cygańskiego" i Stefa „robiła" jedną z cyganek. W czarnej peruce i smagłej cerze było jej niezmiernie do twarzy.

W antrakcie oddano jej list. Rozerwała pospiesznie kopertę, sądząc, że to od Bąbla. Z pewnem rozczarowaniem zobaczyła podpis Sternnegla, który prosił ją, by zobaczyła się z nim po przedstawieniu. Młody malarz podobał się jej wprawdzie, ale dzisiaj miała za dużo kłopotów, aby móc oddać się spokojnie zabawie.

— Ładny chłopak, ale goły!... w każdym razie trzeba się z nim zobaczyć... Dowiem się coś o perfumiarzu...

Odpisała lakonicznie: „Dobrze".

— Sternnagel czekał na nią przed teatrem. Z pod kapelusza o szerokich kresach błyszczały jego piwne oczy.

— Dobry wieczór śliczna panno Stefo... — ścisnął ją silnie, aż do bolu za rękę.

— Dobry wieczór... A gdzie pańscy towarzysze? — oddała mu uścisk dłoni dość niedbale.

— Jacy towarzysze?...

— No pan Bąbel!... pan redaktor Olczak...

— A cóż nam po tych nudziarzach?...

— Hm... przydaliby się...

— Mnie w tej chwili na nic... No idziemy!...

— Dokąd — zapytała przezornie Łączkówna — do restauracyi na kolacyę?

— Poco do restauracyi? Pójdziemy... do mnie... Do mojej pracowni... pokażę pani moje obrazy... Mam w domu butelkę dobrego koniaku...

Malarz miał w sobie tyle ognia młodości, iskry w jego oczach żarzyły się tak mocno, że Stefa zgodziłaby zapewne oglądać jego pracownię — gdyby nie uparta myśl o tem, co będzie, jeżeli Bąbel skrewi... Trzeba go odsunąć koniecznie... i to zaraz dzisiaj... Zaczęła szukać jakiegoś wybiegu, gdy szczęśliwy przypadek podsunął jej go sam... Zobaczyła Olczaka wychodzącego z gmachu teatralnego.

— A! pan redaktor!... moje uszanowanie!...

— Witam panią!... Jak się masz Sternnagel!...

Sternnagel zmarszczył swoje mocno zarysowane brwi. To spotkanie z Olczakiem nie było mu wcale na rękę.

— A gdzież to pan Bądel? -- zapytała Stefa — Nie był dzisiaj w teatrze?

— A nie!... wie pani, że mnie to nawet dziwi...

— To niegrzeczność z jego strony... umówił się ze mną...

— Ależ pani spragniona zapachu perfum...— zauważył Sternnagel — wobec tego żegnam państwa i zostawiam na miłej pogawędce o nieobecności pana Antoniego Bąbla...

Ale Stefa nie chciała go puścić. Był jej potrzebny. Ujęła go pod ramię:

— Nie! pan zostanie z nami!... Pójdziemy razem na kolacyę! Może spotkamy pana Bąbla?... Jak pan sądzi, panie redaktorze, gdzie on może być?!...

Spojrzenia Stefy i Olczaka spotkały się. Jej oczy mówiły: „Dopomóż mi" a jego oczy odpowiadały: „Pomogę, ale pamiętaj"... Zrozumieli się.

— Sądzę, że utknął na łonie rodziny... Ale wie pani co zrobimy? Porwiemy go!...

— Doskonale! ale jak to zrobimy?...

— Bardzo prosto!... Proszę państwa siadamy do dorożki!... Fiakier!... — krzyknął.

Sternnagel chciał się opierać, ale elektryczny prąd płynący z ramienia Stefy paraliżował jego upór.

Olczak kazał dorożkarzowi jechać do mieszkania Bąbla. Kiedy dorożka zatrzymała się przed domem, zostawił Stefę i Sternnagla w powozie, a sam pobiegł na górę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kronika tygodniowa

W dniu 6 grudnia, zatem w imieniny św. Mikołaja, zbudziwszy się ze snu, otworzył kronikarz wedle zwyczaju najpierw prawe oko, potem lewe, ziewnął i zaczął się zastanawiać nad tem, czy nie należy już wstawać. Zegarek wskazywał ósmą godzinę według czasu letniego, w pokoju było ciemno, niczem na pryncypalnej ulicy w Krakowie, a przyjemna temperatura przypominała, że to już grudzień, a węgle kupuje się na wagę złota. Wobec tego najchętniej byłby został pod kołdrą, niestety, obowiązki kazały zrobić inaczej.

Nagle z kąta pokoju, w którym znajduje się łoże dozgonnej towarzyszki kronikarskiej doli na tym padole chleba kontygentowego z trocinami, rozległ się radosny krzyk pani Weroniki:

— Jest!...

W tej chwili przypomniała się jego kronikarskiej pamięci, że to dziś uroczystość św. Mikołaja, przekonany był zatem, iż szczigodna połowica jego okrzyk ów radosny wydała, znalazłszy prezent, pozostawiony przez świętego Solenizanta. W tej chwili sięgnął i on pod poduszkę, następnie pod łóżko, ale tylko po to, aby stwierdzić, że, oprócz tego, co się tam zwykle znajduje, lub znajdować powinno, nic innego nie znajdzie. Głuchym głosem, w którym wyczytać można było rozczarowanie, powtórzył zatem, jak echo:

— Niema!...

— Powiadam ci, że jest, sam się zresztą o tem możesz przekonać!... — odpowiedziała pani domu.

— To jednak ciekawe!... A o mnie zapomniał!... Zaczynam być zazdrosny...

— Kto zapmniał?

— Któżby?... Swięty Mikołaj...

— A o kimże pamiętał?

— Oczywiście o tobie!... Słyszałem przecież wyraźnie jak przed chwilą zawołałaś z radością: jest!...

Zeźmiała się i to naprawdę serdecznie, co się jej zdarza bardzo rzadko i tylko wobec członków najbliższej rodziny, poczem wytłómaczyła:

— Źle mój okrzyk zrozumiałeś!... Nie odnosił się on bynajmniej do prezentu od św. Mikołaja...

— Lecz?... — podchwycił kronikarz, naprawdę już zaintrygowany.

— Lecz do myszy, która się w nocy złapała.

Trzeba bowiem wiedzieć P. T. Czytelnikom, że obecnie źle się wiedzie także i myszom, będącym sublokatorkami umysłowo pracujących inteligentów, nic też dziwnego, że, ratując swe istnienie, chwytają się ostatecznych środków, by uchronić się od głodowej śmierci. Tym właśnie środkiem dla myszy kronikarskich były pantofle pani Weroniki, drogocenna pamiątka rodzinna, należąca do resztek ślubnej wyprawy. Do nich dobrały się myszy, następstwem czego było sprzysiężenie na ich życie i zastawienie łapki. Że się mysz złapała, w tem niema nic dziwnego, gdyż nieraz im się to przytrafia, to jednak dziwne, że poszła na skórkę z chleba, gdy w przedwojennych czasach z lekceważeniem omijała nawet i słoninę. Jasny zatem dowód, że i myszy mają swoje kłopoty aprowizacyjne, skoro nie gardzą dziś chlebem i to suchym. Mamy zatem towarzyszki niedoli, o tyle jednak będące od nas w lepszem położeniu, że nie potrzebują troszczyć się o opał, mając swe naturalne futerka, a gniazda zakładając przeważnie w okolicy komina, który ogrzewa ktoś inny. Nie mają też myszy powodów do łamania sobie głowy nad rozwiązaniem problemu, trudniejszego, niż kwadratura koła, lub *perpetuum mobile*, jak spędzić zbliżające się święta Bożego Narodzenia, aby były Bogu na chwałę, a ludziom na pożytek. Tydzień zaledwie oddziela nas od nich, a jakoś nie widać żadnych przygotowań, jak to bywało w tym okresie w czasach przedwojennych. Oczywiście są ludzie, którym wojna światowa nie dała się we znaki, którzy ją nawet chwalą, ale takich jest stosunkowo niewiele, mając oczywiście na myśli głodującą inteligencyę w przeciwstawieniu do paskarzy, lichwiarzy i innych szczęśliwców, którym się dziś tak dobrze dzieje, że śmiało mogą powiedzieć, iż, jak rok długi, obchodzą święta.

Dawni burżuje, dzisiejszy proletaryat, obejść się muszą smakiem i wspomnieniami lat ubiegłych, gdy gospodyni domu, mając do dyspozycyi na urządzenie Świąt pięćdziesiąt koron, tak się potrafiła załatwić, iż wystarczyło nie tylko na wykwintne i obfite zaspokojenie głodu i pragnienia, ale każdy z członków rodziny otrzymał z tego na Gwiazdkę jakiś prezencik.

Dziś czasy się zmieniły. Dobroczynne skutki wojny światowej są już dziś widoczne, nauczyliśmy się obchodzić bez różnych rzeczy, bez których nie umieliśmy sobie życia wyobrazić. Czy słyszał kto kiedy przed wojną o wieczerzy wigilijnej bez ryb i strucli, ba, nawet bez opłatka?... Menu wigilijne z roku na rok kurczyło się coraz bardziej, tego roku ograniczyć się będzie musiało do czystej herbatki, do której jeśli się znajdzie kawałek jałowej strucli, to dowód, że pani domu jest zapobiegliwą gospodynią i potrafiła porobić nadzwyczajne oszczędności, jeśli ją stać na tak kolosalny dziś wydatek. A strucelkę taką kryje się troskliwie przed oczyma ewentualnych gości, których zjawienia się, w przeciwieństwie do dawnych czasów, nikt nie pożąda. Chcąc się w Święta uraczyć należycie, trzebaby mieć stosunki w sferach paskarsko-lichwiarskich, lub bodaj między pracującymi fizycznie, jakże się jednak między nimi pokazać, gdy najbardziej godowa szata inteligenta zasługuje raczej na nazwę „szmaty", a wisi na nim, niczem na kołku... Zresztą, o ile wierzyć można przepowiedniom ludowym, po „Barbarze po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie", co każe wybić sobie z głowy, ze względu na opłakany stan obuwia, wszelkie wędrówki z życzeniami „Wesołych Świąt", a w nadziei, że przecież ten lub ów przyjmie nie tylko ciepłem słowem, ale także i czemś konkretniejszem.

Już dziś płakać się chce na samo wspomnienie, jakie to będą ósme Święta wojenne, a cóż będzie dopiero za tydzień, gdy owa nicość życiowa stanie przed nami oko w oko?...

Przetrzymaliśmy tyle, przetrzymamy zatem jeszcze i to jedno więcej zmartwienie, w nadziei, że przecież kiedyś sytuacya się rozjaśni i, jeśli nie wrócą dawne, przedwojenne stosunki, nastaną bodaj znośniejsze od obecnych, stwierdzających, że wojna przewróciła świat do góry nogami, ale mu to na dobre nie wyszło.

Moglibyśmy się wprawdzie cieszyć ze zwycięstwa Cyganiewicza nad Lewisem, więcej jednak wewnętrznego zadowolenia przyniosłoby nam przeświadczenie, że nasi wielcy w narodzie doszli wreszcie raz do przekonania, iż interes ogółu powinien iść przed interesami partyjnymi. Byłby to dowód, że potrafili zwyciężyć sami siebie, a tego rodzaju zwycięstwo jest ze wszystkich może najszczytniejsze. Zdaje się jednak, że na naszych wybrańców zgromadzonych w Sejmowym wieczerniku, Duch Święty tak rychło zstąpić nie raczy i że prędzej rozjadą się do swych okręgów, aby przygotować nowe wybory, niż dojdą do przeświadczenia, że ta droga, jaką sobie obrali, nie prowadzi do celu, a działalność ich szkodzi nie tylko ogółowi, ale i ich własnym interesom lub ich stronnictw. Jeśli bowiem ktoś ze znajdujących się na okręcie, będącym na pełnem morzu, przyczynia się do jego zatonięcia, gotuje zgubę nietylko innym, lecz i samemu sobie. Zupełnie w ten sam sposób postępują sobie u nas przedstawiciele różnych stronnictw, doprowadzający nasze wewnętrzne stosunki do takiego chaosu, jak gdyby im na tem zależało, byśmy nigdy nie doszli do tego stadyum naszego samodzielnego rozwoju, które pozwalałoby powiedzieć, iż nareszcie wyrośliśmy z politycznych powijaków i możemy się obejść bez niańki. W swem partyjnem zacietrzewieniu tracą świadomość, że machinacyami swemi wyrządzają szkodę nie tylko całej polskiej społeczności, ale też i samym sobie, są przecież także jej członkami. Co jednak najważniejsze, destrukcyjna ich robota odbija się fatalnie i na zewnątrz, a Polska, której dążeniem powinno być zajęcie miejsca między pierwszemi mocarstwami świata, traktowaną jest z tego powodu daleko poza trzeciorzędnemi państewkami, umiejącemi utrzymać ład u siebie wewnątrz i zmuszającemi w ten sposób sąsiadów, by się z niemi liczono.

Mamy tu na myśli przedewszystkiem ścieranie się przed forum sejmowem poszczególnych, wrogo przeciwko sobie usposobionych partyi politycznych, wytaczających działa największego kalibru, lecz, broń Boże, nie dla tego, jakoby tego interes ogółu wymagał, ale w obronie własnych interesów partyjnych lub w celu odwetu. Wyciągnęli narodowej demokracyi na światło dzienne sprawę Bardla i Bryla, nie pozostali w tyle ludowcy i zabrali się do endeków, dla rozmaitości zaczynając jednak od końca alfabetu. Wyszła w ten sposób na światło dzienne i przypomniała się szerszemu ogółowi amerykańska broszura posła Zamorskiego, który w chwili, gdy ją pisał, musiał być w stanie *transu* partyjnego, wykluczającego świadomość tego, co się czyni, ale nie wykluczającego odpowiedzialności za to, co się uczyniło. Nasza sala sejmowa robi w ostatnich czasach wrażenie pralni, w której czyści się rzekomo honor narodowy, w samej rzeczy zaś wytwarza się pomyje, które potem inni wylewają nam na głowę. Za Bardla i Bryla Zamorski, nikt jednak widocznie nie zdawał sobie z tego sprawy, jaką przez to wyrządza szkodę ogólnemu interesowi, jak nadwyręża ład wewnętrzny w państwie i jak osłabia jego znaczenie na zewnątrz. I to wszystko nie w interesie ogółu, lecz na tle walki partyjnej dwu przeciwnych sobie stronnictw, z których każde uważa się za jedyne powołane do ujęcia steru rządów w swe ręce. Zamiast z panami takimi, jak wyżej wymienieni, załatwić się pocichu, skutecznie a prędko, by nie zwrócić na to uwagi tym, którzy starają się wyzyskać każdą sposobność, byle tylko przedstawić nas w niekorzystnem świetle w oczach świata, rozdmuchuje się te paskudztwa do kolosalnych rozmiarów, jak gdyby komuś zależało na tem, by każdemu wpadły w oko.

Nie możemy sobie poprostu wytłómaczyć, jakie intencye kierowały posłem Zamorskim w chwili, gdy pisał swą broszurę i wydawał ją w Ameryce. Gdyby nawet na wszystkie swoje zarzuty, skierowane przeciwko obecnym stosunkom w Polsce, posiadał konkretne dowody (oczywiście nie takie, jak Nowaczyński o Marchlewskim...) i gdyby nawet potrafił wykazać, że kierowała nim tylko szczera chęć służenia dobrej sprawie i naprawienia tego, co uważał za złe, to jeszcze publikacyę jego w tych warunkach, w jakich się obecnie znajdujemy, musimy uważać za krok wysoce niepolityczny. Starsmy się o pomoc i poparcie, tak moralne jak i materyalne, amerykańskiej Polonii, a tymczasem przedstawiamy się samochcąc w jej oczach w tak czarnych barwach, że chyba ani do nas samych, ani do stosunków, panujących u nas, nie mogą nabrać zaufania nasi bracia z za Oceanu, wychowani w innej, niż my, szkole i zupełnie inaczej patrzący na świat i życie. Pomijając już sam fakt, że na potwierdzenie różnych zarzutów trudno będzie posłowi Zamorskiemu znaleźć odpowiednie dowody, nawet przy pomocy swych towarzyszów partyjnych, umiejących z wielką łatwością z białego robić czarne i odwrotnie, musi się przyznać, że tak poruszeniem tych spraw, jak i wybraniem sobie Ameryki za miejsce wydania, wyrządził nam pan Zamorski prawdziwie niedźwiedzią przysługę. W ten sposób nie pomaga się sprawie narodowej, owszem szkodzi się jej i to bardzo dotkliwie. Przeczytawszy sobie jego broszurę, Polak, urodzony i wychowany w Ameryce, a tęskniący dotąd za swą Ojczyzną, zmieni przekonanie i dziękować będzie Panu Bogu, że znajduje się zdala od niej, bo chyba nie czyni nikomu zaszczytu zaliczać się do społeczeństwa takiego, jak przedstawione przez autora w owej nieszczęsnej broszurze. Szowinizm partyjny uniósł p. Zamorskiego tym razem zbyt daleko, smutne skutki swego wystąpienia musi też sam sobie przypisać.

Najsmutniejszym jednak jest fakt, że te wszystkie ohydy i brudy pierze się publicznie nie dlatego, aby w ten sposób służyć ogólnemu dobru, lecz dla interesu partyjnego. Gdyby Bardla i Bryla pozostawiono w spokoju, byliby ludowcy niezawodnie nad broszurą Zamorskiego przeszli do porządku dziennego, ponieważ jednak dobrano się do ich skóry, w myśl zasady „ząb za ząb" wyciągnęli ją na światło dzienne. Może to jednak i dobrze, że bodaj z tych powodów dowiaduje się ogół o rozmaitych świństwach swych wybrańców i to w przeddzień prawie nowych wyborów. Wpłynie to niewątpliwie otrzeźwiająco na ogół, który raz już powinienby zastanowić się nad tem krytyczniej nieco, niż dotąd, kogo obdarzać swem zaufaniem i komu w ręce powierzać swe losy. Trzy lata radzili i radzą jeszcze członkowie naszego Sejmu Ustawodawczego, powołani właściwie po to tylko, by uchwalić zasady, według których ma się ukształtować nasza państwowość. Widocznie jednak i dobrze im tam i wygodnie, skoro tak trudno przychodzi im pożegnać się z ławami poselskiemi. Pobyt swój w Warszawie chwalą sobie, spędzają bowiem czas przyjemnie, a przedewszystkiem pożytecznie, ale nie dla kraju i wyborców, lecz dla siebie i dla swych najbliższych. Wielu z nich mandat poselski uważa za dojną krowę, mającą im zapewnić spokojny byt na długi szereg lat następnych.

Jakim duchem ożywieni są nasi przedstawiciele w Sejmie, to okazała sprawa daniny państwowej, którą uznano wprawdzie za niezbędny warunek poprawy sytuacyi, nad wyraz już krytycznej, a przecież starano się za wszelką cenę albo ją zwalczyć zupełnie, albo też zrobić z niej dziwoląga, nie mogącego przynieść oczekiwanych korzyści. I w tym wypadku czuć było zbliżające się nowe wybory. Każdy z posłów uważał za ważny atut dla siebie módz się wobec swych wyborców wykazać, że starał się o to, aby ofenzywa ministra Michalskiego na ich kieszeń nie odniosła skutku, a wiadomo, że na tym punkcie są ludzie szczególniej wrażliwi. O ile rozchodzi się o branie, każdy jest do tego gotów bez ograniczeń, jeżeli jednak trzeba cośkolwiek złożyć na ołtarzu ogólnego dobra, kamienieją serca i drętwieją ręce, które do ostatniej chwili tak gorliwie zgarniały.

Wybraliśmy sobie sami posłów, bo nikt ich nam nie narzucił, że były między nimi przeważnie polityczne zera, to zatem nasza tylko wina, a ich zasługa, że bodaj dzięki świństwom rozlicznym potrafiły się wybić na pierwszy plan, tak, że zajmują się niemi nie tylko w kraju, lecz i daleko poza jego granicami. Przy następnych wyborach, w myśl zasady „mądry Polak po szkodzie", będziemy zatem ostrożniejsi, o ile oczywiście większość nie wstrzyma się od wzięcia udziału w przyszłych wyborach.

wania jest fakt, że wydano ją w Ameryce i to właśnie w czasie, gdy staramy się usilnie o moralne i materyalne poparcie tamtejszej Polonii.

Nie wchodząc w kwestyę, czy pan Zamorski wywody swoje opiera na konkretnych faktach, czy też podobnie, jak jego kolega partyjny, Nowaczyński, „na opowieściach Berenta“, samo już pojawienie się publikacyi o podobnej treści i to w czasie tak dla nas trudnym, uważać musimy za prawdziwie niedźwiedzią przysługę, wyświadczoną polskiemu społeczeństwu i to przez człowieka, którego ono obdarzyło swem zaufaniem.

Sprawa osławionej amerykańskiej broszury miała dwa echa. Jednem z nich było potępienie antipańtwowej działalności endecyi na plenum sejmowem 165 głosami przeciw 113 i wezwanie rządu, aby pociągnął autora jej do odpowiedzialności karno-sądowej pod zarzutem zdrady stanu, drugiem wymierzenie sobie doraźnej satysfakcyi przez podpor. Rokosowskiego, występującego w obronie honoru znieważonej armii polskiej.

Oczywiście nie pochwalamy postępku podporucznika Rokosowskiego, który nie był upoważnionym do tego, aby występować w obronie czci wojska polskiego, tłómaczymy to sobie jednak rozżaleniem, jakie w młodem sercu obudzić musiały wyssane z palca zarzuty.

Epilog afery jest tego rodzaju, że Ministerstwo Sprawiedliwości poczyniło kroki przygotowawcze do wdrożenia dochodzeń karnych przeciw autorowi broszury, sprawę czynnego znieważenia tegoż przez podporucznika Rokosowskiego załatwiono „w sposób honorowy“, przez odbyty we Wilanowie pojedynek na pistolety, z którego, po dwukrotnej wymianie strzałów, wyszli obaj przeciwnicy bez szwanku na zdrowiu.

Afera posła Zamorskiego stała się powodem żywej polemiki na temat dotychczasowej, tak szkodzącej naszej dobrej sławie, działalności narodowej demokracyi, która w zwalczaniu swych przeciwników politycznych nie przebierała nigdy w środkach, tym razem jednak zbyt daleko przekroczyła dopuszczalną ich miarę.

U trumny polskiego szermierza.

W dniu 12 listopada b. r. zmarł w Krakowie nagle w 45. roku życia, jeden z największych i jeden z najzdolniejszych szermierzy, egzaminowany i dyplomowany mistrz szermierki w Polsce, Stanisław Antoni Bąkowski.

Urodzony w Krakowie, uczęszczał wspólnie ze sławnym mistrzem Neralic'em w latach 1894/5 do Wojskowego Instytutu Nauczycieli Szermierki i Gimnastyki w Wiener-Neustadt. Już jako frekwentant zaliczał się do wysoko uzdolnionych i najlepszych uczniów podpisanego, który wówczas pracował jako nauczyciel w tymże Instytucie. Ze względu na swe uzdolnienie pozostawał ś. p. Bąkowski w Wiener-Neustadt do czasu mianowania go wojskowym mistrzem. Następnie pracował Bąkowski w Kadeckiej Szkole Kawaleryi w Mährisch Weisskirchen z nadzwyczajnym rezultatem, skąd później przeniósł się do Krakowskiego Klubu Szermierzy, będąc czynnym jako mistrz Sekcyi Szermierczej Akademickiego Związku Sportowego. Powołany w czasie wojny z powrotem do wojska uczył swej sztuki w rozmaitych szkołach wojskowych, a po przewrocie politycznym, dłuższy czas wspólnie ze sprawozdawcą w Korpusie Kadetów w Łobzowie pod Krakowem. Ostatnio prowadził również dział szermierki w „Sokole“ krakowskim.

W roku 1920 dał się poznać jako znakomity nauczyciel i świetny trener w lwowskim Klubie Szermierki i miał jako mistrz reprezentować szermierkę Polski na Igrzyskach Olimpijskich w Antwerpii, co niestety nie przyszło do skutku z powodu ówczesnych stosunków politycznych.

Mistrz Bąkowski był również członkiem czynnym w Akademii Sztuki Szermierczej w Wiedniu i zdobył zarówno w zapasach urządzanych przez armię, jakoteż w turniejach międzynarodowych liczne nagrody honorowe, oraz medale. W zawodach światowych w Grazu, Wiedniu i Budapeszcie wywalczył sobie medale mistrzowskie I. klasy. Wspaniale i z rutyną iście mistrzowską władał przedewszystkiem pałaszem, a jego estetyczne, ściśle obmyślane ruchy i klasyczne cięcia, prawdziwego szermierza wyższej szkoły budziły stale podziw w znawcach.

Kto miał sposobność tak jak piszący te słowa, długie lata obok zmarłego pracować i wspólnie z nim się ścierać na licznych akademiach szermierczych, ostatnio we Lwowie i Warszawie, może dopiero ocenić należycie doskonałe i zupełne opanowanie tejże sztuki przez ś. p. Bąkowskiego.

Jedynie wielkie i wyłączne umiłowanie tej gałęzi sportu kazało mu poświęcić się szlachetnej i rycerskiej sztuce szermierki, a doszedł w niej nie tylko do doskonałości, lecz zasłynął także jako mistrz-nauczyciel swej sztuki.

Wysokie pedagogiczne uzdolnienie, niezwykła cierpliwość, zrozumienie i wczucie się w indywidualność ucznia, oto znamienne cechy Bąkowskiego, nabyte wielkim doświadczeniem i praktyką.

Szermierkę polską dotknęła strata niepowetowana. Boleśnie ogarnęło wszystkich zdumienie, że tego wielkiego mistrza nie starano się pozyskać na stałe, przedewszystkiem dla armii polskiej, by wyszkolił nam godnych i zręcznych nauczycieli szermierki, których nam przecież zupełnie brakuje i bez których sztuka szermiercza, nie może się u nas rozwinąć odpowiednio i zakwitnąć.



Wojna Hiszpanów z Maurami: Konferencya między komisarzem hiszpańskim dla Marokka jen. Dumaso Berenguer, ministrem wojny La Cierva i komendantem placu w Melilli, jen. Cavalcanti.



W siedmsetną rocznicę śmierci Dantego: Ludność Florencyi przyjmuje owacyjnie króla Wiktora Emanuela biorącego udział w obchodzie.



W siedmsetną rocznicę śmierci Dantego: 1) Grupa uczestników uroczystego pochodu florenckiego w historycznych kostyumach z epoki Dantego. 2) Legioniści fiumańscy z wieńcami laurowymi, nadesłanymi na uroczystość florencką przez Gabryela D'Annunzio.

Szermierstwo Polskie opuszcza dziś w żałobnym ukłonie ostrza szpad, żegnając mistrza-szermierza i zapewnia go, że pamięć o nim zachowa wiernie.

Eugeniusz Linnemann.



Jak przed trzema tysiącami lat: Starożytne stroje ludności zamieszkującej okolice między Eski-Cheir a Angorą w Małej Azyi.

Wojna Hiszpanów z Maurami.

Sytuacya, w jakiej znalazły się wojska hiszpańskie, operujące przeciw powstańcom mauretańskim w północnej Afryce, przedstawia się daleko poważniej w oświetleniu najnowszych depesz, niż sobie to dotychczas wyobrażaliśmy. Z jakiemi trudnościami mają do walczenia Hiszpanie, o tem była mowa w jednym z poprzednich numerów, w artykule, w którym podaliśmy wzmiankę o strasznej masakrze wojsk hiszpańskich, stanowiących załogę fortu na górze Arruit. Maurowie, prowadząc przeciw Hiszpanom walkę podjazdową, obeznani dokładnie z terenem i przywykli do warunków dla Europejczyka wprost nieznośnych, mają też skutkiem tego przewagę nad swym wrogiem, zadają Hiszpanom klęskę po klęsce, z jeńcami, którzy dostali się w ich ręce, postępują z prawdziwie wschodniem barbarzyństwem. Wojnę tę uważają dla siebie za świętą, wytężają też wszystkie siły, aby zrzucić z siebie pęta niewoli, nałożone przez europejskiego ciemięzcę, postępującego sobie wobec podbitych ludów w sposób bezwzględny.

Z drugiej strony Hiszpania, aby ratować resztki swego mocarstwowego znaczenia i utrzymać swe władztwo na północnem wybrzeżu Afryki, zdobyć się musiała na najdalej idące wysiłki, klęska bowiem w Afryce musiałaby być powodem rewolucyi w kraju, którego ogół ludności bardzo niechętnie usposobiony jest dla polityki wojennej, kosztującej już wiele, a nie przynoszącej żadnego pożytku. I tem się właśnie tłómaczy owe wiadomości, obiegające świat cały o wybuchu rewolucyi w Hiszpanii, detronizacyi króla, zaprowadzeniu ustroju republikańskiego itd. Są to zwykłe następstwa każdej niepomyślnej wiadomości, nadeszłej z Afryki, choć cenzura hiszpańska jest również surową, jak hiszpańska etykieta i przeprowadzaną jest z całą ścisłością, to jest, że pozwala wspominać w pismach o sukcesach hiszpańskiego oręża, kreśli natomiast każdą wiadomość o jego niepowodzeniach.

W kraju, gdzie nieoficyalnie rozchodzą się wieści o ustawicznych porażkach wojsk hiszpańskich, ta niepewność staje się powodem łatwo zrozumiałego zdenerwowania, które umieją wyzyskać na swą korzyść nieprzyjaciele dotychczasowego tamtejszego ustroju społecznego, tych zaś nigdy w Hiszpanii nie brakło. Cały ogrom nienawiści mas ludowych skierowany jest przeciw partyi wojennej, w której ręku, jak się powszechnie mówi w Hiszpanii, król Alfons jest tylko ślepem narzędziem, spełniającem jej wolę i rozkazy. Rozgoryczenie w kraju rośnie z każdym dniem coraz bardziej, ostateczna klęska w Afryce pociągnąć za sobą musi i upadek monarchii.

Wiedzą o tem dobrze hiszpańskie czynniki miarodajne, rzucają też na teren afrykański coraz to nowsze siły, idące w setki tysięcy. Żołnierza hiszpańskiego nie ożywia jednak zapał do tej walki, przeciwnie, idzie on tam z niechęcią, wiedząc dobrze o tem, z jakiemi przyjdzie mu się zmagać trudnościami i jakie niebezpieczeństwo grozi mu z ręki okrutnego wroga.

Jak się w ostatnich czasach przedstawia położenie wojsk hiszpańskich w Afryce, świadczy o tem depesza korespondenta paryskiego *Journalu*, który pod datą 7 grudnia donosi, co następuje:

„W Riff ponieśli Hiszpanie dotkliwą klęskę. Tysiące żołnierzy hiszpańskich wymordowano, tysiące wzięto do niewoli. Członkowie sztabu jeneralnego popełnili samobójstwo, aby nie wpaść żywcem w ręce okrutnego wroga. Jenerał Navarro został pojmany. Nie odnaleziono zwłok głównodowodzącego generała Sylvestre, który rzekomo miał popełnić samobójstwo. Nowemu hiszpańskiemu korpusowi ekspedycyjnemu w sile 140.000 żołnierzy udało się dopiero teraz owładnąć miejscowością Raz Medus, 20 km. od Melili i w ten sposób odciążyć Melilę".



Jak przed trzema tysiącami lat: Prymitywne wozy, używane do dziś w okolicach Angory.



O sympatye w Ameryce Południowej: Delegat francuski jenerał Mangin przed frontem kompanii honorowej po przybyciu do Valparaiso.

W siedmsetną rocznicę śmierci Dantego.

Siedmsetna rocznica śmierci wielkiego poety włoskiego, Dantego, obchodzoną jest we wszystkich krajach cywilizowanych całym szeregiem uroczystości. Wszystkie narody prześcigają się w oddaniu czci autorowi „Boskiej Komedyi" *(La Divina Comedia)*. Polska też nie pozostała w tyle. Nie tylko w stolicy i większych ogniskach kultury, jak Kraków, Poznań i Wilno, a nawet i w małych miastach prowincyonalnych odbywają się już to akademie, już to uroczyste wieczory na cześć Dantego. Osobno rocznicę jego obchodzą szkoły nasze, a świeżo Ministerstwo Kultury i Sztuki przeznaczyło większy fundusz na ten cel. Wreszcie różne instytucye, koła literackie i artystyczne szeregiem odczytów zaznajamiają szersze społeczeństwo nasze z życiem i dziełami poety.

Rozumie się samo przez się, że uroczystości Dantego w jego ojczyźnie, w słonecznej Italii, przybrały formy najpiękniejsze, połączono je w końcu z narodowem świętem włoskiem, co im dodało jeszcze większych cech patryotycznych.

W Rawennie, gdzie spoczywają zwłoki Dantego,

we Florencyi i w Rzymie ceremonie kościelne i urzędowe odprawiono z wielką okazałością, której towarzyszyły delegacye zagraniczne. Wszystkie stronnictwa połączyły się biorąc masowo udział w tem święcie narodowem, tak, że w obchodach obok sztandarów narodowych widać było czerwone sztandary socyalistów i czarne chorągwie fascistów ozdobione półczaszką.

W Rawennie reprezentował papieża kardynał Lafontaine, biskup wenecki, który wygłosił w katedrze gorący panegiryk. Tysiączne tłumy defilowały przed grobem Dantego ozdobionym kwiatami i wień-



Z m. Opery: Ludwika Jaworzyńska jako „Halka".

cami srebrnymi. Lotnicy, dawni legioniści fiumańscy, przywieźli ze sobą wieńce laurowe z liści zielonych, zebranych nad jeziorem Garda przez Gabryela D'Annunzia. W bibliotece otwarto i poświęcono osobną salę przeznaczoną wyłącznie dla wydań i tłómaczeń „Boskiej Komedyi".

We Florencyi reprezentanci wszystkich krajów włoskich zebrali się w kościele Santa Croce, gdzie się znajduje pomnik Dantego. Uroczystość w pałacu królewskim odbyła się w obecności króla. Punktem kulminacyjnym obchodu był wielki korowód historyczny upamiętniający powrót wojsk florenckich z bitwy pod Campaldino, w której Dante brał udział. Wreszcie w Rzymie koło Porta Pia, którędy w r. 1870 weszły wojska piemonckie do miasta, odbyły się wspaniałe uroczystości narodowe, związane z hołdem dla wielkiego poety, a zakończone entuzyastycznemi przemówieniami na Kapitolu.

Jak przed trzema tysiącami lat.

Zatarg grecko turecki, jaki rozegrał się na terenie małoazyatyckim, a omal nie doprowadził do ostrego starcia w łonie samej Koalicyi, to jest między Francyą a Anglią, miał tą dobrą stronę, iż zwrócił oczy całego świata na tę część Azyi, w starożytności daleko lepiej znaną, niż współczesny badacz, który do niedawna byłby w wielkim kłopocie, gdyby mu przyszło odpowiedzieć na pytanie, jakie stosunki panują obecnie na tym obszarze, tak często wspominanym w historyi od najdawniejszych czasów.

Dzięki temu zainteresowaniu się obecnie Małą Azyą, jej ludnością i stosunkami, dowiadujemy się, że dla etnologa znajdują się tam prawdziwe skarby, a to, na co dziś patrzy własnemi oczyma, mimowoli cofa go myślą wstecz o jakie conajmniej lat trzy tysiące. Przyzna to i Czytelnik *Nowości Illustrowanych*, spojrzawszy na fotografie, odnoszące się do niniejszego artykułu. To, co na nich widzi, te stroje mieszkańców, te wozy z prymitywnemi kołami z jednego kawałka drzewa, to jak gdyby obrazek, żywcem zdjęty z starogreckiej wazy lub urny. A jednak jest to rzeczywistość, z którą spotkać się można właśnie na tym terenie, na którym rozegrały się ostatnie sceny zatargu grecko-tureckiego. Fotografie te, przedstawiające mieszkańców Małej Azyi, przybranych w fantastyczne i naprawdę odwieczne stroje narodowe, i te ich wozy, tak dalekie od obecnego postępu, to obrazki zdjęte z natury z okolic Eski-Cheir.

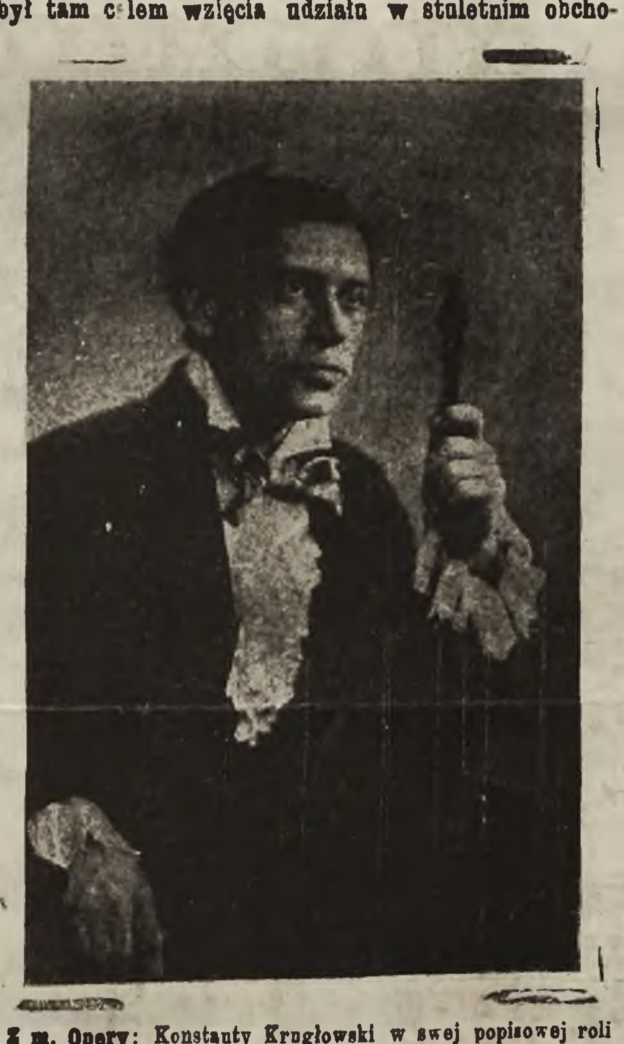
Tego odkrycia etnograficznego dokonano w okolicy trudno dostępnej i mało odwiedzanej, która jednak miała sposobność zapoznać się z okropnościami współczesnej wojny, prowadzonej w imię cywilizacyi i kultury. W jednym z zakątków górskich natrafiono na ludność, noszącą dziś jeszcze stroje najzupełniej przypominające te, jakich używali mieszkańcy Małej Azyi z przed lat trzech tysięcy, w szczególności zaś Myceńczycy.

Mała Azya była zawsze niewyczerpanem źródłem badań historycznych i archeologicznych, obecnie do nich dołączyć się powinny także i etnograficzne, a kiedyś dowiemy się może, że natrafiono na ślad potomków w prostej linii ludności miasta Troi, ewakuowanej z twierdzy przed rozpoczęciem oblężenia jej przez wojska greckie. Wędrówki narodów w różnych epokach zrobiły swoje, pokazuje się przecież, że nie wpłynęły bynajmniej na zmianę stosunków niektórych okolic, zwłaszcza odległych od ogólnie uczęszczanych traktów. Tutaj spotkać można jeszcze i dziś zwyczaje i obyczaje, cofające nas myślą w lata zamierzchłej starożytności.

O sympatye w Ameryce Południowej.

Spotykając się w obecnych czasach coraz częściej na łamach naszych pism z wyrażeniem „Ameryka", mamy zawsze na myśli jedynie tylko Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, pierwsze dziś mocarstwo, któro świat cały zawojowało jeśli nie politycznie, to ekonomicznie. O resztę Ameryki, to jest o tak zwane „republiki łacińskie", zajmujące jej środkową i południową część, mało się troszczono i nie bardzo z nią liczono. W ostatnich dopiero czasach zwróciły się oczy polityków światowych w tę stronę i różne państwa zaczęły upatrywać swój interes w nawiązaniu przyjaznych stosunków z republikami Południowej Ameryki, zaliczanemi dotąd do państw drugiego, a nawet trzeciego rzędu, o których sympatye troszczyć się nie warto. Nowe kombinacye polityczne przewidziały jednak widocznie co innego, rozpoczęło się bowiem kokietowanie na wielką skalę państw południowo-amerykańskich. Początek zrobiły Stany Zjednoczone, wysyłając do nich, jak o tem w swoim czasie donosiliśmy, specyalną misyę polityczno-wojskową, obecnie przyszła kolej na Francyę.

W Południowej Ameryce bawił specyalny delegat rządu francuskiego, jenerał Mangin, który przybył tam celem wzięcia udziału w stuletnim obcho-



Z m. Opery: Konstanty Kruglowski w swej popisowej roli w operze Czajkowskiego „Eugeniusz Onegin".

dzie ogłoszenia niezawisłości republiki Peru, a następnie odwiedził także i inne państwa południowo-amerykańskie, przyjmowany wszędzie z nadzwyczajną życzliwością, co widocznie zgadza się z interesami obecnej polityki francuskiej, skoro prasa tamtejsza podkreśla z żywą radością szczegóły manifestowania sympatyi francuskich przez rządy i ludność „republik łacińskich" Ameryki. Według tych doniesień podróż jenerała Mangina jest prawdziwym tryumfalnym pochodem, a z objawami podobnej sympatyi i serdeczności, z jakimi go wszędzie przyjmowano, nie spotkał się dotąd żaden z gości, tak europejskich, jak amerykańskich.

Po Peru przyszła kolej na Gwatemalę, a nastę-



Z m. Opery: Zofia Osmecka-Bandrowska jako „Mignon".

pnie Chile. Po wylądowaniu w Valparaise wzięła misya francuska udział w uroczystościach chilijskich, w których program wchodził także i przegląd wojsk. Dokonał go jenerał Mangin, jak zapewniają dzienniki chilijskie, bardzo szczegółowo, lustrując kompanię po kompanii, wdając się w rozmowę z poszczególnymi żołnierzami i zwracając baczniejszą uwagę na przybranych w mundury niemieckie. — W Santjago, podczas bankietu, wydanego na cześć francuskich gości, chilijski minister spraw zagranicznych wnosząc toast na cześć Francyi, wyraził się w entuzyastycznych słowach o jej kulturalnem znaczeniu, nazywając ją „matką cywilizacyi".

Z Miejskiej Opery.

(Kr.). Młoda Opera krakowska rozwija się wcale pomyślnie, a to dzięki wybornemu kierownictwu trzech fachowych dyrektorów: pp. Eug. Bujańskiego (administracya), Dr Alfreda Jendla i prof. Walewskiego (opera) i St. Polańskiego (operetka) przy artystycznej współpracy znakomitych reżyserów: Konstantego Kruglowskiego w dziale operowym i Andrzeja Lelewicza w operetkowym.

W męskim personalu zyskał jako artysta niepodzielne uznanie publiczności i prasy, młody, niezwykle jako śpiewak (baryton) i aktor uzdolniony p. K. Kruglowski, którego kreacye w Rigolecie, Fauscie, Pajacach i t. p. osiągnęły istotnie opinię artystycznej twórczości.

Ozdobą i chlubą zespołu jest bez kwestyi p. Ludwika Filipek Jaworzyńska, uczennica p. Camilowej, a następnie prof. Ranieri Horbowskiego. Rozpocząwszy działalność artystyczną zrazu w krak. Towarzystwie operowem, w roku 1921 wstąpiła w skład Miejskiej Opery krak., gdzie kreowała dotychczas z kolosalnem powodzeniem tytułowe partye w operach: „Hrabina", „Halka", „Małgorzata" (Faust), a ostatnio w „Tosce".

Niepoślednią siłę operową stanowi p. Zofia Bandrowska-Osmecka, śpiewaczka koloraturowa o ślicznym, metalicznym głosie. Niezrównana Ewa w „Hrabinie", Gilda w „Rigolecie" i Nedda w „Pajacach" osiąga artystyczny wysoki efekt p. Bandrowska nie tylko dzięki zaletom pięknego swego głosu i wybornej umiejętności śpiewackiej, ale zarówno i inteligentną, pomysłową, a zawsze w szlachetnym stylu utrzymaną grą sceniczną.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

„HUMOR POLSKI“

Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny

Do nabycia w całej Polsce

Cena egz. 50 Mk.

„BOCIAN“

Dwutygodnik humorystyczny

Do nabycia we wszystkich Ajencyach

Cena egz. 80 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi

Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

NOWOŚĆ!

»DANCING«

PRAKTYCZNY UKŁAD

TAŃCOW NOWOCZESNYCH

- WSTĘP
- TANGO
- MAXIXE BRESILIENNE
- BOSTON
- ONE-STEP
- SHIMMY
- FOX-TROT
- PASO-DOBLE
- SCOTTISH ESPAGNOL
- LA CHUCHA

NIEZBĘDNY PODRĘCZNIK

DLA

CZCICIELI TERPSYCHORY

DO NABYCIA: WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH W POLSCE.

NOWOŚĆ!

NA ROK **1922** NA ROK

KALENDARZ BIURKOWY TYGODN.

w cenie 120·— Marek.

Kalendarzyk kieszonkowy

broszurowany w cenie 25·— Marek.

w ozdobnej oprawie

imitacya płótna 70·—, imitacya skóry 80·—

jest już do nabycia

w Administracyi

„Nowości Illustrowanych“

w Krakowie, ulica Kazimierza Wielkiego Nr. 95.

Odsprzedawcom przyznajemy znaczny rabat. Wysyłki na prowincyę uskutecznia się za złożeniem gotówki i za zwrotem porta.

ADMINISTRACYA

Nowości illustrow.

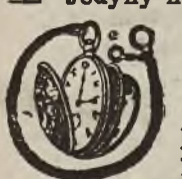
odsprzedaje

klisze

cynkowe

z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Jedyny najtańszy dom handlowy



IGNACY CYPRES

Kraków, ul. Szewska 13/N.I.

poleca: nikl. syst. Roskopf mk. 3000, Budzik z przedwoj. werkiem mk. 5000, Skrzypce ze smyczkiem mk. 8500 i wyżej. Harmonie, wiedeński model jednorzędówka mk. 10000, dwurzędówka mk. 15000. Trąby akordeonowe mk. 2000, 2500. Dyamenty do szkła mk. 2500, 3000. Brzytwy mk. 800, 1000, 1200. Maszynki do włosów mk. 2500, 3000. Maszynki do samogolenia mk. 1500, 2000. Pas do brzytwy mk. 250. Kamień mk. 250. Pudła do skrzypiec mk. 2500, 3500. — Wysyłka za zaliczką. — Cennik illustrowany za nadesłaniem 30 mk. przekazem.

Kupuje złoto i srebro.

Istniejący od lat dwudziestu

Handlowo-przemysłowy Związek katol. krawców

Stowarz. zarej. z ogran. poręką.

w Krakowie, Floryańska 7.

przyjmuje zamówienia na ubrania męskie podług miary, z własnego lub powierzonego materyału. Obsługa rzetelna, terminowa. — Suknie dla Przew. Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. Sprzedaż materałów na kostyumy męskie i na damskie.

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

(Kalendarz z 1914-15-16 roku).

Cena 100 Marek polskich.

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 80 marek

jest do nabycia

w Administracyi Nowości Illustrowanych

NA GWIAZDKĘ

Wielkie korzyści

PP. Kupcom i Przemysłowcom

przynosi

abonowanie poniżej wymienionych w całej Pols znanych i jedynych pism fachowych:

Tygodnik	„Kupiec“	prenumerata kwart.	M. 100 -
„	„Drogerzysta“	„ „	72·—
„	„Przegląd włóknisty“	„	72·—
Dwi „	„Dom gościnny“	„ „	50·—

Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem

2 Marek.

Adres zamówień:

POZNAN, UL. WIELKA 10.

KOŁDRY

puchowe na wełnie i wacie.

Materace włosienne i powijacze dla niemowląt.

Poduszki i pierze gęsie

poleca: JEDYNA KATOLICKA PRACOWNIA WYROBÓW POŚCIELOWYCH

M. Matusiewicz, KRAKÓW UL. POSELSKA L. 20.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego